

Opowiadanie młodej, moskiewskiej dziennikarki, napisane w stylu Stephena Kinga, a jednocześnie, przywodzące na myśl Franza Kafkę.

Anna Starobiniec

Szczelina

Zaglądam do pokoju. Moja pięcioletnia córka bawi się na podłodze, mrużąc coś pod nosem. Siedzi na kolorowym tureckim dywanie i, szorując o niego gołymi piętami, zaplata warkoczek wielkiej, starej lalce. Uśmiecham się, cicho przymykam drzwi, ale nagle uświadamiam, że zapomniałem poprosić, by włożyła skarpetki: otwieram drzwi znów i łowię na sobie jej napięte, przestraszone spojrzenie.

- Nigdy nie wolno tego robić, tato, nigdy nie wolno!

- Czego robić? - dziwię się.

- Nigdy nie wolno otwierać drzwi raz za razem.

- Dlaczego?

- Nie zrozumiesz.

- Mimo wszystko, spróbuj wyjaśnić.

- Nie uwierzysz.

- A może?

- Ponieważ, no ponieważ, kiedy to robisz - trajkocze podniecona - kiedy to robisz, tworzy się szczelina - nieprawdziwa, dokładniej prawdziwa, ale niewidoczna, między światami i przez tę szczelinę może szybko przeskoczyć Bóg - robi przy tym straszne oczy - i zaciągnie ciebie tam.

- A jeśli się otworzy drzwi trzy razy? - interesuję się.

- Trzy razy, nic się nie stanie. A już, cztery - nawet gorzej niż dwa.

- A pięć? - coraz bardziej mnie to zaciekawia.

- Pięć, można.

- Sześć?

- Nie wolno.

- Czyli, parzyste liczby? - pytam i ona, naturalnie, milczy: nie rozumie, co to takiego „liczby parzyste”. - I skąd ty o tym wiesz? - pytam.

Widocznie, w moim tonie, niezauważalna dla mnie, prześlizguje się ironia. Natychmiast to wychwytuje, uważa, że coś jest nie tak i urażona, nadyma wargi:

- Mówiłam, że nie uwierzysz...

- Tylko, skąd ty o tym wiesz? - powtarzam, nadając pytaniu poważny i przenikliwy ton.

Ale, już mi nie ufa; poza tym wydaje się, że nasza rozmowa jej się sprzykrzyła. Znów się zajęła białym, syntetycznym warkoczem i odpowiada niechętnie, nawet nie patrząc w moją stronę:

- Wiem. Po prostu wiem.

Jadę do pracy. Godzina szczytu.

„Proszę o ostrożność. Zamykam drzwi. Następna stacja - „Białoruska”.

Do wagonu nadal powoli wlewa się tłum zdecydowanych ludzi o pustym spojrzeniu. Wsiadam na następnej, ale nawet nie próbuję przeciwstawiać się, spokojnie daję się odsunąć w głąb wagonu.

Przyciska się do mnie niewysoki, elegancki młody człowiek. Ma mocno owłosione ręce - kiście palców. Wszystkie pokryte kędzierzawymi, czarnymi włoskami i nawet na wewnętrznych stronach, wydaje się, jest widoczny ciemny meszek. Twarz dokładnie ogolona, ale błękitu, zwiastującego szybką szczecinę, nie da się ukryć; ten urodzajny błękit rzuca się w oczy. Dziwne, myślę, tyle zarostu na takiej młodej twarzy - bardziej naturalna byłaby jego całkowita nieobecność, gładka delikatnie różowa skóra...

Drzwi zatrzasują się i znowu otwierają się. „Proszę odsunąć się od wejścia!” - rozlega się z głośnika. Drzwi zsuwają się i znów się rozsuwają. „Koniec wsiadania” - z rozdrażnieniem mówi maszynista. I jeszcze raz - klap-klap... „Natychmiast puść drzwi!” - ryczy maszynista i niewidoczny chuligan wycofuje się. Pociąg rusza z szarpnięciem i nurkuje w grzmiącą ciemność.

Młody człowiek przygotowuje się do wyjścia: owłosioną ręką włożył do kieszeni kurtki, wyciągnął stamtąd ochronną szminkę - na ulicy mróz - i dokładnie jeździ nią po pulchnych, kapryśnych wargach.

Ponury, czerwonomordy chłop, podobnie jak ja - tylko z boku - przyciśnięty do młodzieńca, mruży coś złośliwie. Dźwięki giną w dudnieniu pociągu, ale po wargach łatwo można odczytać: homik.

Przepycham się do drzwi. Młody człowiek puszcza do mnie oko. Czerwonomordy, chyba chce splunąć na podłogę - ale się powstrzymuje.

Z trudem wdrapuję się po schodach i wychodzę z metra.

To nie „Białoruska”. Chociaż bardzo podobna. Ulica Twerska, most... Ale pod mostem, z szumem, unosząc za horyzont kawałki ośnieżonej kry, płynie szeroka, wezbrana rzeka. Po moście, nie spiesząc się, spacerują ludzie, przytrzymując rękoma nakrycia głów - nad wodą bardzo mocno wieje.

Przydworcowy plac, przeważnie o każdej porze dnia i nocy zakorkowany samochodami - pokryty lodem i praktycznie pusty, tylko dwaj samotni łyżwiarze ślizgają się wytwornie, wypisując idealne ósemki.

Bezmyślnie wchodzę na most, w półśnie przechodzę na drugi brzeg, skręcam w zaułek na prawo, długo kluczę nieznanymi ulicami – po chwili, cicha panika opanowuje mnie bez reszty. Postanawiam wrócić do metra, ale już nie potrafię ustalić, gdzie się znajduje. Przyspieszam kroku, prawie biegnę.

Z naprzeciwka idzie kobieta. Ma miłą, przyjazną twarz. Zdyszany szybkim krokiem, dusząc się z rozpaczy, pytam, jak się dostać do najbliższej stacji metra. Zatrzymuje się, uśmiecha życzliwie i wydaje przenikliwy, przeciągły krzyk mewy. Potem przykrywa usta ręką - bardzo zmieszana, jakby dopiero co beknęła przy stole po sutym obiedzie:

- Proszę wybaczyć... Powinien pan iść prosto, potem w lewo i trafi pan do zejścia - kiwa mi na pożegnanie.

- Proszę poczekać! Proszę powiedzieć, gdzie się znajduję?

Patrzy na mnie lekko zdziwiona i odpowiada:

- Znajduje się pan na wsch... i-o-i! - znów odzywa się mewą.

- Gdzie? - pytam ponownie.

- Wsch... i-o-i! i-o-i!.. proszę wybaczyć. Nie mogę wymówić.

Odchodzi.

Idę, jak mi poradziła i rzeczywiście wracam do metra. Schodzę na dół. Schody zbyt krótkie - raptem pięć-sześć stopni i już jestem pod ziemią.

Stoję na peronie i widzę, jak się spełnia mój koszmarny sen.

Od dziecka śnił mi się ten sen. Stoję na peronie i widzę zbliżający się czerwony, błyszczący pociąg. Jego kolor zupełnie inny niż „Czerwonej strzały”, odchodzącego z dworca Leningradzkiego o 23⁵⁵. Mój pociąg - czerwony inaczej. Czerwony, jak nowiutki amerykański samochód wyścigowy, błyszczący w południowym słońcu. Czerwony, jak drogi lakier na paznokciach fotomodelek. Czerwony, jak cienka, ażurowa bielizna na ciele dziwki.

Zbliża się, zwalnia bieg, a potem - nie, nie wpadam pod koła i on nie przekształca mnie w potworną papkę - nic takiego się nie dzieje. Po prostu, zatrzymuje się przy peronie - ale większego przerażenia, czy straszniejszego kosmaru, nie mogę sobie wyobrazić.

W tym momencie, zawsze się budziłem, zlany zimnym potem.

Teraz, stoję na peronie. Zbliża się czerwony, błyszczący pociąg. Zwalnia bieg i zatrzymuje się. Wchodzę, trzymając się poręczy.

„Proszę o ostrożność. Zamykamy drzwi”.

Drzwi zamykają się i pociąg rusza.

Braknie mi tchu, miotam się po przestronnym, pustym wagonie. Następna stacja. Jaka następna stacja?

Przekład: Tadeusz Rubnikowicz